

Zapiski
z Annopola
Wiesława
Bancarzewska



Wydawnictwo Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014
Text © copyright by Wiesława Bancarzewska, 2014

Projekt okładki Katarzyna Borkowska
Zdjęcie na okładce © iStockphoto.com/Peter Zelei

Książka jest fikcją literacką. Wszelka zbieżność nazwisk i zdarzeń jest przypadkowa. Samborzewo, Annapol, Dębiniac i Wierzbiniac to fikcyjne miejscowości umieszczone przez Autorkę w okolicy Inowrocławia.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49, faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl www.wnk.com.pl

Książkę wydrukowano na papierze
Ecco Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.

Redaktorzy prowadzący *Katarzyna Piętką*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Bogumiła Widła*
Korekta *Ewa Mościcka, Magdalena Adamska, Krystyna Lesińska*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek-Matulką*

ISBN 978-83-10-12647-4

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków

Lipiec 1938

Pięć dni po powrocie z Nałęczowa

Ludzie mówią, że czas nie stoi w miejscu.

To prawda, ale tylko wtedy, gdy ma się jedno życie. Ja mam dwa życia i dwa czasy. Jeden z moich czasów zatrzymał się czwartego listopada dwa tysiące jedenastego roku. Ten dzień wciąż na mnie czeka, za modrzewiem.

A w Annopolu pory roku przebiegają zgodnie z kalendarzem i dużo się dzieje. Poza życiem rodzinnym absorbuje mnie teraz nowy zawód: otóż jestem autorką bajek dla dzieci.

Nigdy nie sądziłam, że zajmę się wymyślaniem bajek, ale co było robić? Musiałam!

Ze względu na męża.

– Aniu, poczytasz mi swoją książkę? – spytał Olek wówczas, gdy kończyłam pracę nad autobiograficzną powieścią o roboczym tytule *Powrót do Nałęczowa*.

W latach trzydziestych ta książka nie miała prawa ujrzeć światła dziennego, napisałam ją wyłącznie dla czytelników żyjących w dwudziestym pierwszym wieku. Byłam więc zmuszona do pisania, że tak powiem, na dwa zeszyty,

oba w identycznych, marmurkowych okładkach. W jednym snułam prawdziwą opowieść o swoim życiu, drugi zaś był przykrywką, alibi, i zawierał zabawne historyjki o zwierzętach zamieszkujących Las Idealny.

Gdy przeczytałam Olkowi jedną z tych historyjek, poprosił zaraz o drugą, potem o trzecią. A później oświadczył, że są dobre i że powinnam je opublikować.

Tak zaczęła się przedwojenna kariera Anny Obryckiej. Pisanie bajek to coś akurat dla mnie i chyba jestem w tym niezła.

A Powrót do Nałęczowa?

Cóż, na półce w toruńskim mieszkaniu ciągle czekają cztery zapisane zeszyty. Nie muszę się martwić, że atrament wyblaknie, ponieważ tam czas stoi w miejscu. Moja powieść zostanie wydana dopiero wtedy, gdy na stałe wrócę do Torunia.

Nie zadaję sobie pytania, kiedy to nastąpi...

Mam nadzieję, że przede mną i Olkiem jeszcze dziesiątki wspólnych lat. Jednak jak każdy człowiek nie wiem, co przyszłość przyniesie. Życie jest pełne niespodzianek, a kiedy ma się dwa życia, to niespodzianek jest dwa razy więcej.



Zaraz po obudzeniu Franek spojrzął w lusterko, żeby upewnić się, czy ciągle jest lisem. Tak – był lisem, już ósmy dzień był lisem.

Postawiłam kropkę na końcu zdania, osuszyłam atrament bibułą i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zamknęłam zeszyt. Teraz czas zająć się domowymi sprawami.

Wyjrzałam przez okno. Broniek, Kasia i Walentyńka bawili się w piaskownicy. Cała trójka wspólnymi siłami usypywała wielką, piaskową górkę.

– Idę do kuchni! – krzyknęłam w stronę piaskownicy.

Dzieci spojrzały na mnie, kiwając głowami i znów wróciły do przerwanej zabawy. Mogłam spokojnie spuścić je z oka, ponieważ dworski park był bezpiecznym miejscem. Co prawda nasz staw w ciągu ostatnich pięciu lat nie wyschł, jednak przy piaskownicy czuwały wilczury. Olek tak je wytresował, by nie pozwalały dzieciom zbliżyć się do wody. Niektórym psom ufa się bardziej niż ludziom, Ton i Bajka do nich należą.

W kuchni pachniało wanilią.

Celińska wyciągała z pieca foremki z *crème brûlée*, a Horacy jak zwykle siedział w ramkach za szybką. Nie doskwierała mu samotność. Obrazek z papugą wisiał teraz w towarzystwie nowych, namalowanych przez Olka akwarelek. Przedstawiały żurawia, puszczyka i sokoła.

To nie jedyna zmiana w annopolskiej kuchni. Zestawione w kształcie litery L stoły przykryłam kraciastą ceratą. Przy ścianie między oknami zmieściły się dwa fotele i stojąca lampa ze szklanym kloszem. Na parapecie obok kwiatów stało radio Echo, czterolampowy odbiornik w obudowie wyglądającej jak mała szafka z otwartymi na oścież drzwiczkami.

Jednak najważniejsza zmiana polegała na tym, że wywalczyłam sobie prawo do gotowania.

Jak wiadomo, pani administratorowa Obrycka nie powinna osobiście przesuwać pogrzebaczem fajerek na piecu

ani brudzić sobie rączek mąką. Na szczęście nie byłam już wyłącznie administratorową, czyli kobietą na etacie żony. Autorka książek dla dzieci to jakby artystka, a artyści mają różne dziwactwa, które należy tolerować.

Celińska przestała więc przewracać oczami, gdy wkładałam fartuch i zagniatą ciasto na kluski śląskie albo piekłam pączki.

Dzisiaj miałam w planie pizzę, potrawę, którą odważyłam się wprowadzić do naszego przedwojennego menu dopiero rok temu.

– Zupa gotowa, krem zapieczony, to ja już tu nie mam nic do roboty. – Celińska rozwiązywała troczki fartucha w tym samym momencie, gdy ja zawiązywałam swoje.

– Ale posiedzi pani ze mną? – spytałam.

– Pewnie, że tak. Nigdzie mi się nie spieszy.

Kiedy rozrabiałam mąkę z wodą, do kuchni wbiegły dzieci.

– Mama, daj chleba – poprosiła Walentynka.

– Zgłodnieliście?

– Nie, muchę bydziem futrować – wyjaśnił Bronek.

Oplukałam ręce zimną wodą, odkroiłam jedną kromkę z bochenka i podałam ją Bronkowi.

– To za mało. Mucha bardzo głodno.

Uśmiechając się porozumiewawczo do kucharki, odkroiłam dwie następne kromki.

– Wystarczy?

– Wystarczy – przytaknął Bronek. – Ino jeszcze wody w misce trza.

Gdy zaopatrzona w prowiant gromadka opuszczała kuchnię, w drzwiach pojawił się mój mąż.

– A wy dokąd tak gnacie?

– Mucha na nas czeka!

Trzy pary bosych nówek zatupotały po schodach. Dzieci pobiegły do ogrodu i do swoich spraw, do których my, dorośli, nie mieliśmy dostępu.

– Kasia jak z obrazka, a Broniek zapowiada się na bystrego chłopaka. Lubię te dzieciaki od Sokolnickiej – powiedział Olek, nalewając do szklanki kompot ze stojącego na stole dzbanka.

– Naszej Walentyńce też nic nie brakuje – mruknęła Celińska.

Tak, naszej Walentyńce niczego nie brakowało.

Podniosłam głowę znad stolnicy i uśmiechnęłam się do Olka, do Celińskiej i do łasiczki, która wychodziła właśnie ze spiżarni.

Broniek i Kasia mieszkali w annopolskich czworakach. Ich mama, Magda Sokolnicka, pracowała przy obrzędku świń, poza tym była siostrą Gudejki. Między Obryckimi a całą rodziną Gudejków zawsze dobrze się układało.

Prawie każdego ranka dzieci Sokolnickiej ciągnęły za sznur wiszący przy bramie wjazdowej. Nitecki człapał, po-brzękiwał kluczami i mruczając coś pod nosem, wpuszczał małych gości. Walentyńka czekała na ten moment z niecierpliwością, bo:

– Wiesz, mama, Kasia i Broniek to moi przyjaciele.

Następnego dnia, jeszcze przed śniadaniem, Walentynka chciała pobiec do parku, by zobaczyć muchę.

– Daj spokój – sprzeciwiłam się. – Twoja mucha na pewno gdzieś odleciała.

– Nie odleciała, ona leży pod krzakiem.

– Jeśli leży pod krzakiem, to już nie żyje.

Buzia małej wykrzywiła się w podkówkę.

– Wczoraj żyła, zjadła chleb i ruszała ogonem.

– Walentynko, muchy nie mają ogonów.

– Nasza ma! Jak nie wierzysz, mama, to chodź, pokażę ci.

Blisko muru, między dwoma krzakami derenia zobaczyłam... kupkę czarnego nieszczęścia – wychudzonego psa, który chyba konał z głodu.

– Ten pies nazywa się Mucha? – spytałam.

– Tak, Broniek wymyślił, że Mucha.

– A może być Muszka?

– Może być – zgodziło się moje dziecko.

Muszka nie protestowała, gdy wzięłam ją na ręce i niosłam do domu. Nie byłam nawet pewna, czy wie, co się z nią dzieje. Ale żyła i chciała żyć, bo leżąc na kocyku, zjadła rozmoczoną w mleku bułkę.

Bajka, Ton oraz Pani Kotka rozumiały, że pod nasz dach trafił ktoś bardzo słaby, ktoś, kogo nie wolno zaczepiać. Przez cztery dni Muszka leżała w ciemnym kącie pod schodami. Nie czuła się samotna, bo Walentynka, kucając przy kocyku, recytowała jej w kółko swój ulubiony wierszyk o chorym kotku:

*Pan Kotek był chory i leżał w łóżeczku,
I przyszedł kot doktor: – Jak się masz koteczku?
– Źle bardzo... – I łapkę wyciągnął do niego.
Wziął za puls pan doktor poważnie chorego...**

Czarny piesek na pewno nic z tego nie rozumiał, jednak cichy, życzliwy szczebiot dziecka miał tak samo dobroczynny wpływ na zdrowie jak mleko.

Piątego dnia z kąta pod schodami zniknęły i Muszka, i kocyk. Okazało się, że przygarnięta psina przeniosła swoje legowisko do sypialni, konkretnie – pod łóżeczko Walentynki.

Nie dziwiłam się. Każdy lubi słuchać kojącego szeptu, ton głosu jest ważniejszy niż sens wypowiedzianych słów.



We wtorek Olek wpadł do domu na szybki obiad i zaraz znów odjechał do pracy. Zaczęły się żniwa, pogoda dopisywała, więc należało wykorzystać każdą godzinę. Przyzwyczaiłam się już do tego, że mąż wiosną i latem pracuje od rana do późnego podwieczorku.

Popołudnie spędziłyśmy w ogrodzie, jak trzy śpiące królewny. Walentynka spała w hamaku, Muszka (która nie odstępowwała mojej córki na krok) odpoczywała pod hamakiem, a ja drzemałam na leżaku. O piątej zaprowadziłam małą do kuchni i oddałam pod opiekę Celińskiej.

* S. Jachowicz *Chory kotek*, w: *Upominek z prac Stanisława Jachowicza: bajki, nauuczki, opisy, powiastki i różne wierszyki*, s. 27, wyd. 3; Poznań, druk i nakład Jarosława Leitgebra, 1902.

Sama pobiegłam na górę.

Schody w Annopolu trzeszczały jak dawniej. Dwa lata temu obejrzał je cieśla z Dębińca, pan Maziejuk, i uznał, że nie ma tu nic do naprawienia.

– Pani Obrycka, prędzej się dwór rozpadnie niż te schody, one wytrzymają dwieście lat albo lepiej. A że trzeszczą? Widać tak musi być, każda deska kiedyś żywa była.

Gdy Maziejuk zamykał skrzynkę z narzędziami, z góry schodziła Wandzia. Zatrzeszczało. Pierwszy raz wsłuchałam się uważniej w ten odgłos. Stary cieśla miał rację, to nie usterka – to dom mówi do nas.

Tamtego dnia poznałam jeszcze jeden język.

Dziś, kiedy szłam do sypialni, schody powtarzały dwa słowa:

Nowe łasz-ki!

Nowe łasz-ki!

Niedawno pojechałam do Poznania z Bibi Wysocką na zakupy. Olek nie wiedział, że kupiłam wówczas ekstrawagancką sukienkę z matowego jedwabiu w biało-czarną kratkę i czarny cylinderek (ostatni krzyk mody!).

Ubrałam się w nowy strój, a potem siadłam przed lustrem, odgarnęłam włosy z czoła i centymetr po centymetrze obejrzałam całą twarz.

Znowu nic. Ani jednej nowej zmarszczki, choćby malutkiej, najmniejszej kreseczki.

Zawiedziona odsunęłam się od lustra. Może to idiotycznie brzmi, ale martwił mnie brak zmarszczek.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku wyglądałam dokładnie tak jak wtedy, gdy wyszłam ze swojego mieszkania i na berlińskim dworcu wsiałam do pociągu, który zawiózł mnie prosto na ślub.

Gdybym spotkała się dzisiaj z Bartkiem, to nie zauważyłby żadnej zmiany i w życiu by nie uwierzył, że między naszą ostatnią rozmową o zapiekance a obecną chwilą zdążyłam urodzić dziecko i odchowac je do czwartego roku życia.

Żarty żartami, jednak problem jest.

Z upływem czasu człowiek powinien się marszczyć, wiotczeć, przygarbiać. Wiem, wiem, każda kobieta, która to przeczyta, puknie się palcem w czoło. Zgoda. W przypadku człowieka płci pięknej starzenie się powinno odbywać się z pewnym poślizgiem.

Tylko że mój poślizg trwa niepokojąco długo. Ile ja właściwie mam lat?

Czterdzieści osiem (zliczając uczciwie wszystkie przeżyte wiosny)?

Czterdzieści dwa (bo wtedy czas się zatrzymał)?

Westchnęłam lekko i patrząc w lustro, przesunęłam cylinderek bardziej na bakier, a później starsza Anna mrugnęła do tej drugiej, o sześć lat młodszej Anny i obie przestały się martwić.

Na razie nie ma dramatu. Jeszcze mieszczę się w górnej (dolnej?) granicy normy. Według dokumentów niedawno skończyłam czterdzieści jeden lat, a w porównaniu z przedwojennymi rówieśniczkami prezentuję się na jakieś trzy-

dzieści pięć. Poza tym w oczach faceta, który mnie kocha, wyglądałam tak samo jak w dniu naszego pierwszego spotkania i pewnie tak już pozostanie, bo miłość jest ślepa.

Mysząc o miłości, zajęłam pozycję obserwacyjną przy oknie. Gdy przed ganek podjechał nasz służbowy wolant, odsunęłam się od firanki, mąż nie powinien mnie teraz zobaczyć. Odeszłam od okna i uchylałam drzwi, by wiedzieć, co się dzieje na dole. Olek najpierw sprawdził, czy nie ma mnie w bibliotece, później poszedł do kuchni. Po pięciu minutach biegł już po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

W sypialni zobaczył tylko śpiącą na fotelu kocicę, bo byłam zasłonięta drzwiami, które otworzył, wchodząc do środka.

Kiedy z zawiedzioną miną obrócił się do wyjścia, pchnęłam zakrywające mnie drzwi.

– Szuka pan kogoś?

Spojrzał na mnie po swojemu, krótko. Ale przecież żaden facet nie potrafił lepiej okazać oczarowania. Potem lekko odchylił głowę do tyłu i zmienił wyraz twarzy na bardziej oficjalny.

– Nikogo nie szukam, to moja sypialnia. Ciekaw jestem, co pani tu robi?

– Och, przepraszam, zdaje się, że zablądziłam. Już wychodzę.

Zrobiłam dwa kroki w lewo, lecz Olek był szybszy, błyskawicznie zamknął drzwi, po czym przekręcił klucz w zamku. Kilka sekund później mój cylinderek wysokim łukiem przeleciał przez sypialnię i padł na łóżko.



– Wandziu, wstaw do chińskiej wazy kwiaty, najlepiej róże. Będziemy mieli gości na herbacie.

– Kogo?

– I tak nie znasz – fuknęłam zaczepnie, wiedząc z góry, że pokojówka nie zadowolony się taką odpowiedzią.

– Wielka mi tajemnica! Chyba w czapce niewidce nie przyjdzie.

Miał nas dziś odwiedzić nowy sekretarz rotmistrza Gibowskiego, niejaki Jerzy Zadworny. Olek znał go za ledwie od paru tygodni, jednak ocenił, że to porządny człowiek: „Wiesz, Aniu, dobrze byłoby go zaprosić do Annopola i nawiązać stosunki towarzyskie”.

Czemu nie? Zawsze ciągnęło mnie do porządnym ludzi.

Państwo Obryccy powitali swojego gościa na ganku, gość zostawił kapelusz i rękawiczki w holu, a następnie został wprowadzony do salonu. Wszystko zgodnie z obowiązującą tu etykietą.

Zadworny był nieco młodszy od Olka, trochę wyższy i dużo bledszy. Właściwie to cały był jakby wyblakły, gdyż natura dała mu kredowobiałą skórę i jasne włosy.

Po wymienieniu zwyczajowych grzeczności spojrzął z zainteresowaniem na *Miłość niebiańską i miłość ziemską* Tycjana.

– Wyjątkowo dobra kopia, pięknie urządziła pani swój salon.

– To nie moja zasługa, tutaj wszystko należy do pracodawców męża.

Zadworny lekko się stropił i zamilkł.

– Cały dwór w Annopolu jest własnością państwa Gibowskich – Olek wyjaśnił sprawę do końca.

– Tak, słyszałem.

W tym momencie do salonu weszła Wandzia, przyniosła tacę z zastawą i ciasteczkami. Gdy rozstawiała filiżanki, nasz gość zwrócił uwagę na herbaciany stolik, przy którym siedzieliśmy.

– Zdaje się, że to Napoleon III, z tych bezpretensjonalnych. Pewnie połowa ubiegłego wieku.

Zaczęłam podejrzewać, iż cała wizyta upłynie na omawianiu po kolei wszystkich znajdujących się w salonie kanap, foteli, serwantek, krzeseł, obrazów i tak dalej. Może Gibowscy zatrudnili na stanowisku sekretarza historyka sztuki albo innego specja od antyków, a może to jakiś sfiksowany koneser, dla którego meble są ważniejsze niż ludzie?

Nagle do rozmowy wtrąciła się Wandzia:

– Ten stolik jest z fabryki mebli Antoniego Tabaki, proszę pana. Ze Swarzędza.

Zaskoczony Zadworny spojrzał na pokojówkę, później na nas i chyba postanowił nie wdawać się w dyskusję ze służbą domową, bo ni stąd, ni zowąd przeszedł na niemiecki.

– *Ich muss zugeben, dass ich zum ersten Mal in meinem Leben von einer Magd belehrt werde. Ist sie auch in anderen Bereichen so talentiert?**

* *Ich muss zugeben...* (niem.) – Muszę przyznać, że pierwszy raz zostałem pouczony przez pannę służącą. Czy ona w innych dziedzinach jest równie utalentowana?

Milczeliśmy z Olkiem jak zakłęci, ponieważ dobrze wiedzieliśmy, kto teraz zabierze głos. Od pięciu lat uczyłam Wandzię niemieckiego, więc swobodnie posługiwała się tym językiem.

Usłyszawszy słowa Zadwornego, chwyciła pod pachę pustą tacę i powiedziała bardzo serio:

– *SIE kann für sich selbst sprechen!**

Następnie wyszła, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi.

Pierwsza wizyta, która powinna przebiegać gładko oraz konwencjonalnie, mocno się skomplikowała. Teraz ważyły się losy naszej znajomości. Albo, albo...

Facet coś rozważał, bo przez kilka sekund spoglądał w stronę mosiężnej klamki od drzwi.

Potem uśmiechnął się przepraszająco.

– Głupio wyszło... byłem przekonany, że ta panna...

– Panna Wanda Graczyk – podpowiedziałam usłużnie.

– ...że panna Wanda Graczyk nie rozumie po niemiecku.

– Na świecie aż roi się od błędnych przekonań – mruknęłam.

– Litości...

To wystarczyło. Mój mąż, który do tej pory siedział cicho, raptem pochylił się do przodu, klasnął w ręce i zaproponował coś, czego nie wypadało zaproponować podczas pierwszej wizyty.

– Panie Jerzy, wódki się pan napije?

– Chętnie.

* *SIE kann...* (niem.) – ONA umie sama odpowiedzieć!

Olek przyniósł z kredensowego butelkę angielskiej gorzkiej, ja poszłam do kuchni po przekąskę: czarny chleb i suszącą się w płóciennym woreczku słoninę.

Godzinę później w annopolskim salonie toczyła się wartka rozmowa, jak to bywa między ludźmi, którzy znaleźli nić porozumienia.

– Nawet gdybym sobie żyły wypruł, nie zrobię takiej kariery, jakiej oczekuje ode mnie matka – zwierzał się Jerzy, drapiąc po głowie Bajkę.

– A czego oczekuje? – spytałam.

– W ostatnim liście napisała, że jakbym w odpowiednim czasie poszedł do seminarium duchownego, to już bym był kardynałem!

– Kardynałem nie zostaniesz, ale nie martw się – stwierdziłam z niewinną miną. – *Ich bin mir sicher, dass auch du in anderen Bereichen talentiert bist**.

Posłał mi krzywy uśmiech i mrugnął w stronę Olka.

– Twoja żona potrafi wbić żądło.

– Za to ją kocham.

Następnego dnia Jerzy Zadworny przysłał do Annopola kwiaty. Dla panny Wandy Graczyk.

* *Ich bin...* (niem.) – Mam pewność, że ty również jesteś utalentowany w innych dziedzinach.

Sierpień 1938

Pierwszy zachorował na grypę stróż z Dębińca, potem inni. Doktor Majewska jeździła po okolicy od rana do wieczora, mimo to choroba zataczała coraz szersze kręgi.

Na szczęście dotąd nikt nie zmarł. Ludzie leżeli z gorączką dwa, trzy tygodnie, lykali zapisane przez lekarzkę proszki i powoli wracali do zdrowia. Ale grypa nie odchodziła, jedni wstawali z łóżek, inni się do nich kładli. I ciągle panował strach.

Najbardziej bano się o dzieci, bo one najsłabsze. O starców jakoś mniej się kłopotano. Na własne uszy słyszałam, jak woźnica Pujanek, skądinąd przyzwoity człowiek, mówił o swoim dziadku:

– Może wyżyje i jeszcze pozipie, a jak przyjdzie mu kipnąć, to kipnie.

Pewnego ranka zamiast Wandzi przyszła do nas jej mama z wiadomością, że córkę zmogła grypa.

Poratowałam panią Graczykową tabletkami oraz pewną kwotą pieniędzy. Lekarstwa pochodziły z toruńskiej apteki, więc wyłuskałam je z listków i zapakowałam do blaszanego pudełeczka po igłach, a pewna kwota pieniędzy to sto złotych (nie przechwalam się tu swoją szczodrością, lecz piszę uczciwie, jak było).

Zrozumiałe, że nie szukaliśmy na miejsce Wandzi żadnej zastępczyni. Podczas epidemii im mniej ludzi w domu, tym lepiej. Zresztą razem z Celińską świetnie sobie radziłyśmy. Ja sprzątałam, ona gotowała, Walentynka bawiła się z Muszką, później przyjeżdżał Olek, porządnie mył ręce, nacierał je spirytusem i dopiero wtedy przytulał nasze dziecko.

Wszystko szło ustalonym torem do momentu, kiedy zauważyłam, że czoło kucharki jest bardziej rozpalone niż kuchenny piec. Grypa znów zaatakowała.

Na polu bitwy zostałam sama, a pole było niemałe.

Opieka nad Celińską, która leżała jak betka w swoim pokoju w oficynie.

Walentynka.

Trzy psy i jeden kot.

Ponadto gotowanie na węglowym piecu oraz sprząkanie całego dworu, czyli dziewięciu pokoi z przyległościami.

Olek uznał, że nie podołam.

– Aniu, dopatrz tylko dziecko i Celińską, gotuj byle co, reszta niech brudem zarasta. I tak będziesz miała urwanie głowy.

Mój mąż bardzo się mylił.

Bo chociaż był mądrym człowiekiem, to pojęcia nie miał, kim naprawdę jest jego żona. Mówiąc nieskromnie, nie zdawał sobie sprawy, jaki skarb mu się trafił.

Gdy skarb został na gospodarstwie jedynie w towarzystwie niewinnych istot, czyli dziecka, psów i kota – przyszedł czas na wyciągnięcie asa z rękawa.

Otóż postanowiłam błysnąć przed domownikami i pokazać im, jaką jestem pracowitą oraz zorganizowaną kobietą. Każdy lubi w oczach innych wypadać lepiej, niż na to zasługuje (jeśli ktoś nie lubi – niech rzuci we mnie kamieniem).

Na poddaszu, wśród zakurzonych rupieci, stał oparty o ścianę obraz z modrzewiem. Mój najtajniejszy sekret.

Pozornie – zwykłe olejne malowidło bez ram.

W rzeczywistości – niezwykle przejście do toruńskiego mieszkania Anki Duszkowskiej.

2011

Kilka sekund na strychu i już przeleciałam siedemdziesiąt trzy lata do przodu.

Pierwsza sprawa: obiad.

Załatwiłam to za pomocą telefonu. Są przecież restauracje, które dostarczają zamówione dania do domu. Poprosiłam o catering: dużo zupy jarzynowej, dla Celińskiej bulion z wermiszalem, sałatki, dwa lekko wysmażone steki oraz pierogi ruskie.

Po deser pofatygowałam się sama, w pobliskiej ciastkarni kupiłam dwanaście szarlotek. Gdy ułożyłam je na małej blaszce, wyglądały jak upieczony przed chwilą placek.

1938

Sprzątanie również odbyło się bez większego wysiłku. Walentynka spała w łóżeczku, za zamkniętymi drzwiami sypialni, a jej mamusia tańczyła po całym domu z mopem i odkurzaczem.

Przed wojną były już odkurzacze, a jakże! Kosztowały czterysta złotych, kwotę, za jaką niejedna rodzina utrzymywała się przez pół roku. Takie cudo przypominające miotłę na lakierowanym kijku, przy którym dyndał woreczek z kurzem, nazywano elektroluksem i mówiono, że ktoś wyelektroluksował dywan.

Państwo Obryccy nie mieli odkurzacza, lecz Anka Duszkowska miała. I to jaki! W porównaniu z elektryczną miotłą mój odkurzaczy był kosmiczny.

O trzeciej po południu dom błyszczał czystością i pachniał dobrym obiadem. Pani Obrycka w towarzystwie córki czekała na męża, przeglądając najświeższy numer dwutygodnika „Moja Przyjaciółka” i machinalnie głaszcząc psy.

(Kocica nie raczyła dołączyć do rodziny. Parę godzin wcześniej, gdy włączyłam odkurzaczy, zamieniła się w czarną smugę, po czym z prędkością światła przeleciała po schodach w górę. Pewnie schowała się, obrażona, na strychu i zejdzie dopiero na kolację).

Tak więc Olek, który spodziewał się zaharowanej kobiety oraz prostej stawy na talerzu, zobaczył zupełnie inny obrazek.

– Wielkie nieba! – zawołał, gdy siadaliśmy do stołu. – Nawet jabłecznik upiekłaś! A może były tu krasnoludki?

Pytanie zostało skierowane do mnie, jednak odpowiedziała na nie Walentynka.

– Krasnoludków nie było, za to był wąż, co buczał.

– Nie ma bajki o wężu, który buczał. Spytaj mamy, mama zna się na bajkach.

– To nie bajka! – upierało się dziecko. – Wstałam z łóżka i przez drzwi zobaczyłam mamę i węża. Buczał.

– Kochanie, to był sen. – Olek uśmiechnął się do Walentynki i mrugnął w moją stronę. – Mamie też śnił się wąż, prawda?

Nie przytaknęłam.

Nie odmrugnęłam. Jadłam zupę, która smakowała jak własna głupota.

Chyba rozum mi odebrało. Jeszcze krok i zacznę otumaniać własne dziecko! Walentynka to Olek i ja. I wszystko, z czego się wywodzimy. Nasza córka ma wyrosnąć na człowieka, który nie da sobie wmawiać, że dwa plus dwa równa się pięć.

Podniosłam głowę znad talerza i spokojnie (oraz zgodnie z prawdą) odpowiedziałam:

– To nie sen. Ja też widziałam tego węża, buczał i był szary.

Walentyna patrzyła na mnie tak jak każde dziecko patrzy na swoją mamę – ufnie. Kiedy usłyszała ostatni wyraz, kiwnęła poważnie głową i potwierdziła:

– Tak. Szary.

– Bałaś się tego węża, kochanie?

– Nie bałam się, bo ty się go nie bałaś, mama.

Moja córeczka wymawiała słowo „mama” w specyficzny sposób – spokojnie, z równym akcentem na obie sylaby i o pół tonu ciszej od reszty zdania. Uwielbiałam to Walentynkowe m a- m a, bo wtedy włączała się we mnie jakaś melodia szczęścia, czasem cichuteńka, kojąca, a czasem wybuchająca pod niebo.



Po obiedzie poszłam do Celińskiej.

Za brązowymi drzwiami oficyny, po prawej stronie znajdowało się jej służbowe lokum: korytarzyk, mała łazienka, pokój oraz pomieszczenie bez okna, nazywane skrytką. Nie wiedziałam, co kucharka skrywa w skrytce, lecz pokój znałam dobrze. Wąskie, drewniane łóżko, szafa, komoda, stół z krzesłami i to coś miłego, co trudno określić, jednak zawsze wiadomo, czy to jest w czterech ścianach, czy nie.

Z szafy ulatniał się delikatny zapach anyżku. Na komodzie stał globus oraz blaszane pudełka po herbacie Szumlińska, w których pani Felicja trzymała swoją kolekcję kamieni (zbierała wyłącznie małe, niebieskawe kamyczki). Nad komodą wisiał oleodruk przedstawiający Pana Jezusa wśród łanów zboża, a obok ślubne, wyretuszowane zdjęcie państwa Celińskich. Młoda żona i młody mąż uśmiechają się

do obiektywu, nie wiedząc, że ich małżeństwo będzie trwało zaledwie cztery miesiące, bo Celiński zginął tragicznie w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku.

Łóżko zakrywała wielobarwna, patchworkowa kapa, którą jakaś kuzynka przysłała Celińskiej aż z Ameryki. Był jeszcze nocny stolik z lampką i półka pełna książek.

Dziś nie zobaczyłam na łóżku kapy; w przepoconej pościeli leżała nasza chora i udawała bohaterkę.

– Wielkiego kłopotu nie narobię, poleżę najwyżej dwa dni.

– Poleży pani tyle, ile będzie trzeba, dwa albo trzy tygodnie – powiedziałam, przelewając bulion z termosu do talerza. – A teraz proszę jeść.

Ustawiłam na pierzynie specjalny stolik do jedzenia w łóżku i podałam obiad.

Kucharka przełknęła zaledwie kilka łyków zupy, potem szybkim ruchem odłożyła łyżkę i zakryła twarz rękami.

– Tylko żeby nie do szpitala... – zaszlochała. – Nie oddawajcie mnie do szpitala... bo to przedsiónek kostnicy.

Zerwałam się z krzesła i siadłam na łóżku przy tej kobiecie przerażonej własną niemocą.

– Wyleczymy panią w domu, pani Felicjo. Na pewno! – zapewniłam ją mocnym głosem. – Co to? Myśli pani, że ze mnie taka niedorajda, co to nie potrafi zaopiekować się jedną pacjentką? Zaraz zmierzmy gorączkę.

Pomogło. Kucharka otarła łzy, wysmarkała nos i sięgnęła po łyżkę, mówiąc cicho:

– Niedorajdą pani nie jest, pani Obrycka. Wiem.

– No! To proszę jeść, póki gorące, a później pościel zmienię.

– Po co zmieniać? – sprzeciwiła się. – W pralni leży już sterta brudów, a nie wiadomo, kiedy praczka wyzdrowieje.

– Nie będziemy czekać na praczkę, sama upiorę – powiedziałam, biorąc ze stolika metalową pochwę z termometrem.

– Co też pani? To robota w pocie czoła na całe trzy dni!

Uśmiechnęłam się beztrosko, bo przecież z taką samą beztroską nacisnę guzik z napisem „start” w mojej palce. Maszyny się nie pocą.

Po dwóch tygodniach ogniska grypy zaczęły wygasać, wracało normalne życie. Do Annopola też.

Pierwsza wróciła do nas Wandzia. Wychudzona, blada, lecz nie było źle – w oczach miała swój dawny, trochę bezczelny błysk, który tak z Olkiem lubiliśmy.

– Dopóki kucharka się nie wykuruje, ja ją w kuchni zastąpię – zdecydowała pierwszego dnia po chorobie. – Nikt tu z głodu nie umrze. A pani, jak starczy czasu, pokoje oblec. I już.

Odpowiadał mi taki podział pracy, więc bez gadania poszłam po miotłę i szufelkę.

Gdy nie można skorzystać z maszyny, to trzeba samemu pracować w pocie czoła. I już.



Pani Hektorowa Krajewska nie zachorowała na grypę, lecz lata robiły swoje. Ostatnimi czasy nasza czcigodna przyjaciółka poważnie podupała na zdrowiu, już nie

opuszczała łóżka. W Wierzbińcu ustalili się nowy zwyczaj – pani Hektorowa przyjmowała gości w sypialni. Rezydowała tam w wielkim łożu, opierając plecy na trzech poduszkach. Taka królowa starości, zamiast korony nosząca czepek obszyty falbanką.

Na powitanie całowałam Krajewską w rękę, ona gładziła moje włosy, potem siadałam w stojącym przy łóżku fotelu i zaczynały się opowieści.

– Rano przypominałam sobie, jak pierwszy raz dostałam na łapy. Chcesz posłuchać, Aniu?

– Tak.

– Niechcący stłukłam wazon z rysunkiem lirogonu. Miałam tylko sześć lat...

Szybko obliczyłam, że mówi o tym, co działo się w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym. W czasach pańszczyzny! Bardzo chciałabym posłuchać, jak wyglądało wtedy życie różnych ludzi. Niestety, leżąc przede mną staruszka koncentrowała się wyłącznie na własnym dzieciństwie.

Wazon z lirogonem spadł z jakiegoś hiszpańskiego stoliczka i rozbił się w drobny mak. Za powyższe przewinienie niania musiała wymierzyć karę: kilka uderzeń skórzanym pejcem (zwanym dyscypliną) po wewnętrznej stronie dziecięcej dłoni. Później zbita dziewczynka całowała pejcz w podzięcie za ten wychowawczy akt.

Całowanie dyscypliny bolało bardziej niż czerwone pręgi na rękach, bo Hektorowa opowiadając mi o tym, zalała się łzami. Siedemdziesiąt siedem lat po wymierzeniu kary.

Moje wizyty w sypialni trwały do momentu, w którym stara dama, zmęczona mówieniem, zasypiała. Naciągałam wówczas niebieski pled wyżej, aby przykryć dłonie śpiącej i na palcach wychodziłam z pokoju.

Na dole w gabinecie czekała na mnie z herbatą Lula, piękna, smutna kobieta o fiołkowych oczach, w których od niedawna pojawiło się znużenie.

Pani Hektorowa gaśła, wszyscy w okolicy przeczuwali, że niedługo pożegna się z ziemskim padolem, czyli ze swoim ziemskim majątkiem. Zgodnie z ostatnią, złożoną u notariusza, wolą właścicielki cały Wierzbiniec miał przejść w ręce jej siostrzeńca Binia. W testamencie znalazła się też osobna klauzula zabezpieczająca los Luli. Otóż Lucyna Patek zachowywała prawo do rezydowania w Wierzbińcu, a w przypadku sprzedania majątku przysługiwała jej dożywotnia renta wypłacana oczywiście przez Binia, czyli pana Albina Pieniążka.

(Binia znaleźliśmy jedynie z opowiadań, bo facet mieszkał na Kresach, w województwie wileńskim i rzadko odwiedzał ciotkę).

– Siostrzeniec pisze, że stęskniony – poinformowała mnie pewnego dnia Krajewska. – Zapowiada najazd na Wierzbiniec, jak tylko wykopki skończy. Ciekawam, Aniu, czy przypadniecie sobie do gustu.

– Na pewno.

Uśmiechnęłam się serdecznie do pani Hektorowej, myśląc jednocześnie, że Biniu to świetne imię dla pewnego zimorodka, który wkrótce pojawi się w Lesie Idealnym. Wbrew

pozorem wymyślanie imion dla bajkowych postaci nie jest łatwą sprawą.

[...]

Wrzesień 1938

Odkąd na świat przyszła Walentynka, pierwszą połowę wakacji spędzałam z nią nad morzem, a drugą w Nałęczowie. Olek przyjeżdżał do nas tylko na krótko, bo w lipcu i sierpniu robota w polu wre.

U Babci, w domu na górcze, byłam ulubioną, wyczekiwaną przez wszystkich letniczką. Chyba nawet kimś więcej niż letniczką, gdyż Babcia, siedząc ze mną na werandzie i mówiąc coś przyciszonym głosem, kładła czasem swoją rękę na mojej. I zawsze w dniu wyjazdu wręczała mi prezent – wysoką, brązową butelkę z sokiem malinowym. Dla Walentynki.

Po powrocie z wakacji już cały rok nie ruszaliśmy się z Annopola. Jedyny wyjątek to krótkie wyjazdy biznesowe do Warszawy, tam bowiem mieściła się siedziba Naszej Księgarni, wydawnictwa, z którym współpracowałam. Co jakiś czas musiałam podpisać następną umowę lub załatwić jakąś inną sprawę.

Nie od razu trafiłam do Naszej Księgarni, moja kariera rozpoczęła się w „Płomyczku”. Był to tygodnik dla dzieci, który zamieszczał teksty cenionych pisarzy, między innymi: Poli Gojawiczyńskiej, Jana Grabowskiego, Janusza Meisnera. Przy takiej konkurencji nieznana Obrycka miała